

Opowieść o orgazmie

oto głoszę namiętność i mądrość

ciasno w pasie zrosnięte

jak centaur

(Zuzanna Ginczanka, "O centaurach")

"Przed nami chyba wciąż długa droga w poszukiwaniu indywidualnego języka opowieści o orgazmie", podsumowuje na stronie xięgarnia.pl Robert Pruszczyński recenzję książki Roberta Muchembleda "Orgazm i Zachód. Historia rozkoszy". Gdyby nie to zdanie, nie zabrałabym się za ten temat, bo na temat seksualności już tyle napisano, że zdałoby mi się dolewaniem szklanki wody do Wisły. Ale że "indywidualny język opowieści o orgazmie" to prawdziwy *challenge* dla takiego wędrowca jak ja, więc już zarzucam tobolek i ruszam w drogę...

Czytelników mojego reportażu z tej szczególnej podróży uprzedzam zawczasu, że droga to kręta, stroma i pełna pułapek, jeśli chodzi o język, bo język w tej dziedzinie jest prymitywny: albo anatomicznie lodowaty, albo wulgarnie wrzący, umiarkowanych temperatur nie ma. Wrażliwych na zimno-gorące kąpiele nie zachęcam, żeby mnie nie hamowali. Poza tym siłą faktu w trakcie wędrówki nasza znajomość będzie się zacieśniać, zatem jak ktoś nie lubi takich bliskości, niech z góry zrezygnuje, będę wdzięczna.

Zastrzegam się, żeby mi nie było zbędnych reklamacji! I tak nie będzie łatwo! Poza tym wykatapultowana przez koronawirusa daleko od domu z podręcznym bagażem, nie posiadam przy sobie żadnej z książek na temat z domowej biblioteki, będę więc pisać z głowy, czyli z pamięci, a ta, jak wiadomo, potrafi sprowadzać na manowce i ogólnie płać różne figle. Wybaczcie tedy i komu w drogę, temu czas!

"Orgazm", to słowo, którego za moich młodych lat w towarzystwie się nie używało. Było intymne, jak intymne jest samo przeżycie. I nie ma się co dziwić, jeśli zważyć, że moje wchodzenie w dorosłe życie to lata 70. XX wieku, a jeszcze na początku tego wieku na nogi od fortepaniu nie mówiono "nogi", bo słowo "noga" było nieprzyzwoite. Zakłamywanie tematu miało się dobrze, co nie znaczy, że go nie było, w roku 1900 ludzi było 1 miliard 650 milionów, do połowy XX wieku liczba się podwoiła, skądś się te nowe pokolenia wzięły.

Był więc seks, a jeśli był seks, były orgazmy. Przynajmniej jeśli chodzi o stronę zapładniającą, bo z tą zapładnianą różnie bywało, a i do dziś różnie bywa. Zresztą wytrysk też niekoniecznie musi się zbiec z doznaniem orgazmu. Ale o tym wszystkim, co już i tak wiadomo, nie będę pisać, bo i po co? Dla mnie ważne jest skonstatowanie, że kobieta nie musi mieć orgazmu, żeby jej było przyjemnie (i odwrotnie, mimo doznania orgazmu może jej być nieprzyjemnie). Umówmy się w tym momencie, że jeżeli mówię "kobieta", to mam na myśli "ja-kobieta", bo badań żadnych na ten temat nie robiłam, co najwyżej zapoznałam się z badaniami innych, ale badania takie, a zwłaszcza ich interpretacje, lubią się szybko przedawnić. Przecież jeszcze zajmujący się - jako jeden z pierwszych naukowców - badaniem orgazmu Freud niejedno nadinterpretował, niejedno przegapił.

W ogóle za czasów Freuda kobiety dzieliły się na "przyzwoite" i "nieprzyzwoite". Nie wiem, do jakiego stopnia Freud zajmował się życiem seksualnym kobiet "przyzwoitych", jako że te z założenia przyjemności z seksu nie miały, a w każdym razie nie miały mieć. Nadużyć zaś w badaniu kobiet "nieprzyzwoitych" u zarania unaukowiania seksualności było tyle, że raczej należałoby przebadać historię nadużyć w ramach tych badań, niż historię przyjemności z seksu jako takiego. "Historia hysterii" to trwająca wieki historia ciemna i ponura, nie będziemy więc zahaczać o tę jaskinię.

Dość na tym, że lekarze usiłowali leczyć "histeryczki" (czyli różne nieszczęsne kobiety, które wpadły w ich ręce) stymulowaniem doprowadzającym do tzw. paroksyzmów czyli naszych orgazmów i z zaciekawiem - zapewne - obserwowali rezultaty swoich metod. Ogólnie nieszczęściem się stało, że świat rodzenia się nowoczesnej nauki był światem ściśle męskim, bo niektóre projekcje wtedy ustanowione trzymają się mocno i to mimo tego, że w końcu i kobiety zaczęły same siebie badać i dołączać swoje naukowe rozeznania do ogólnej puli wiedzy na temat.

Tyle drogą zagajenia, bo nie trzeba wszystkiego wyprowadzać od prarodzciców, żeby dojść do naszych ze wszech miar orgiastycznych czasów praprawników mających wszelki dostęp do pornografii w internecie. Hedonizm ery konsumenckiej ustąpił heroizmowi ery niedostatku. Dziś słyszy się, że jednym z niewątpliwych beneficjentów w czasach pandemii spowodowanej koronawirusem jest przemysł erotyczny pożeniony z technologią elektroniczną. Istna Niagara złota.

Stare feministki lat 80. z wrzaskliwą Alice Schwarzer na czele (w obszarze niemieckojęzycznym) ze słynnym hasłem porNO ustąpiły, bo musiały, młodym feministkom mówiącym na równi z mężczyznami porn jest OK. Taką mamy kulturę seksu i nie ma się co zarzekać. Na uniwersytecie w Paderborn 33-letnia naukowczyni - po niemiecku to jednak lepiej brzmi, "Wissenschaftlerin", bo ta forma gramatyczna akurat w niemieckim jest bardziej sprzyjająca formom żeńskim, sztandarowy przykład: "Kanzler" / "Kanzlerin" po polsku "kanclerz" i "?" - otóż ta młoda niemiecka uczona, Madita Oeming, w ramach studiów kulturoznawczych zajmuje się badaniami nad pornografią jako zjawiskiem kulturowym, temat pracy, nad którą właśnie siedzi, to "uzależnienie od pornografii jako spanikowane morale w Stanach Zjednoczonych ery cyfrowej".

Nie mówię, że to źle, mówię, że to dobrze, że kobiety zajęły się (wreszcie) zagadnieniem, w którym biorą cały czas udział czynny, czas więc na dopracowanie teorii od strony kobiet. W teorii bowiem widzę jeszcze dużo do zrobienia. Weźmy taki wywiad w aktualnym wydaniu postępowej szwajcarskiej "WOZ" (coś jak "Tygodniówka") z berlińską artystką porno o artystycznym pseudonimie Salomé Balthus. Tytuł wywiadu "Dlaczego kobiety rzadziej kupują seks?". Odpowiedź brzmi: *"Bo wydaje się, że dla kobiet często jest też ważne czuć się wybranymi i pożądanymi, a płacąc nie wiedzą, czy ten (ta) chce ich czy ich pieniędzy"*. I choć tu leży pies pogrzebany, Mlle Salomé mówi to z wahaniem niejako się dziwiąc.

A ja się dziwię, że się dziwi. Bo taki płatny kochanek ma niejako korzyść podwójną, odświeżenie nasienia i kasę, a kobieta-klientka rozminiecie się z zaspokojeniem (mimo - zapewne - orgazmu/ów) minus wydatek. Tu bowiem jak się zaczęły nieporozumienia z przełomu XIX i XX wieku, tak się spiętrzyły wraz z nastaniem ery konsumenckiej i utowarnienia wszystkiego. Jak już naukowo ustalono, że kobieta też ma zdolność przeżywania orgazmu, a zaraz potem przyszła kultura obrazkowa, fotografia i film, to się okazało, że kobieta *ma obowiązek* mieć orgazm, żeby mężczyzna czuł się w swojej ambicji zaspokojenia kobiety spełniony i żeby to było widoczne.

No i zaczęło się! Nie wystarczyło zwykłe małżeńskie ruchanko pod mieszczańską pierzyną, gdzie mąż się spuszczał, a żona miała z tego przyjemność lub nie, ale dzieci się tak czy tak rodziły, teraz trzeba było się nauczyć okazywać, jaką to przyjemność on jej sprawia, żeby jemu było jeszcze przyjemniej, że taki z niego samiec nad samce (ach to "Imponiergehabe", "bębnienie w klatę")! Jak przejrzeć z kolei historię "kobiecego orgazmu" (i jego okazywania) to też trochę się straszno, trochę śmieszko robi. Kobiety to zaiste niezłe artystki! Nie znaczy to, że każda udaje, ale znaczy, że pamięta o tym, żeby odegrać zachwyty tym faktem, że mu się udało.

A tak naprawdę kobieta wcale nie musi mieć orgazmu, żeby jej było przyjemnie, jak już napisałam! Może, ale nie musi. A w naszym świecie tak się porobiło, że choćby nie mogła, to i tak musi. I to jest znowu na głowie postawione, jak wiele spraw, które ustanowili w swojej ignorancji i arogancji mężczyźni (w innej dziedzinie najlepszym przykładem jest postawiona na czubku piramida finansowa, która się właśnie na naszych oczach wali, bo to wbrew prawu grawitacji). Kobieta nie musi mieć orgazmu, to mężczyzna musi nasienie apdejtować, kobieta nie musi. Kobieta powinna czuć się pożądana i dzięki temu być cały czas gotowa - naoliwiona - bo na sucho, to żadna przyjemność dla nikogo, a w grę wstępną można się bawić, albo nie, różnie to bywa, a już na pewno różnie bywało od czasów jaskiniowców licząc, nie każdemu starczało cierpliwości na zaloty, jak go przycisnęło.

Innymi (współczesnymi) słowy kobieta jest bardziej analogowa, mężczyzna bardziej cyfrowy. Kobieta może być cały czas z lekka podniecona, mężczyzna musi się regenerować. I kobieta lubi być cały czas podniecona, może nie każda, ale ja na pewno. To jakby nieustające doładowanie i "świecenie". I wcale nie musi się "rozładować" (jak u mężczyzny, ze strony mężczyzny to klasyczna projekcja). Kobiece podniecenie jest sprytnie skorelowane z hormonami, o ile nie jest zabite do szczytu zwykłym funkcjonowaniem, czyli uwijaniem się w superskomercjalizowanym świecie, gdzie trzeba coraz szybciej zapieprzać w kieracie, żeby zarabiać i wydawać.

Te feromony powodują polepszenie samopoczucia i na zewnątrz dają efekt "promieniowania", wiadomo, że nawet zapach jest inny, prawie nieuchwytny, a jednak! Jakże istotny! Nos swoje wie, bo jest czulszy od świadomości. Współpracuje z podświadomością. I tu nie ma fałszu. W przemyśle erotycznym wiele można odegrać, ale tego nie! (chyba że pracownica jest nimfomanką, ale to na dłuższą metę nie działa, bo to jak z pracą w barze, barkeeper nie ma prawa być alkoholiczkiem!).

* * *

Druga część na razie nie do publikacji. Może kiedyś...